



O dzieciach Grzegorza i Emilii Ratyńskich z Zagłębia Dąbrowskiego



Wydawnictwo Rodzinne

Spis treści

Moja rodzina, moi przodkowie. Mea familia, mei Maiores.....	3
Wprowadzenie.....	5
Stefania z Ratyńskich primo voto Maliszewska, secundo voto Ryńcowa.....	9
Ferdynand Ratyński.....	17
Emilia Julia z Ratyńskich Maliszewska.....	22
Anna Stanisława z Ratyńskich Aniołowa.....	24
Strzemieszyce	24
Luciejów.....	25
Poddębice.....	29
Edmundów.....	32
Zakończenie.....	36

Moja rodzina, moi przodkowie. Mea familia, mei maiores

*Umarli najukochańsi, gdy przebrnę przez wężowiska i ciernie i pnące,
Przez całą puszcę szarpiącą, syczącą i wrogą
i nareszcie, po latach tęsknoty, z wami się połączę,
ostatnia z waszych bliskich, tutaj nie powstrzymana przez nikogo.
Umarli moi, rodzice nieznajomi, poważni przodkowie,
dziadku promienisty, praojcie bohaterze,
niech, kiedy spotkam was witających mnie głowa przy głowie,
znajdę u was tę miłość, w którą wierzyłam i wierzę,
której szukałam wśród twarzy i dłoni głosów.*

Kazimiera Iłakowiczówna

Moja rodzina, moi przodkowie: żyli na polskiej ziemi, która od lat 70. XVIII wieku była niszczona przez wrogie mocarstwa i raniona przez wojny, powstania, represje. Ich życie wpisuje się w trudną historię i bogatą kulturę mojej Ojczyzny.

Pisząc tę opowieść, pragnę przekazać przywiązanie i dumę z rodzinnych korzeni, z tego, że moi przodkowie – nasi przodkowie – byli katolikami. Ich świat wartości wynikał ze świętej wiary katolickiej, którą przekazywano z pokolenia na pokolenie. Źródłem, z którego nasi przodkowie czerpali siłę do zmagania się z trudnym życiem, z cierpieniem, był pokorny stosunek do Pana Boga. Jakaż wdzięczność i szacunek należy się im od nas za to dziedzictwo! Pragnę zachęcić do wysiłku poznania Mszy św. wszech czasów (tzw. trydenckiej), katechizmu tradycyjnego, dzieł wielkich świętych, krótko mówiąc – wszystkiego tego, czym żyli ci, którzy byli przed nami.

Pragnę przekazać dumę z tego, że nasi przodkowie byli Polakami. Wybitny filozof, prof. Wincenty Lutosławski, tak definiuje polskość: „Do polskiego narodu należą spolszczeni Niemcy,

Tatarzy, Ormianie, Cyganie, Żydzi, jeśli żyją dla wspólnego ideału Polski. Murzyn lub czerwono-skóry może zostać prawdziwym Polakiem, jeśli przyjmie dziedzictwo duchowe polskiego narodu, zawarte w jego literaturze, sztuce, polityce, obyczajach, i jeśli ma niezłomną wolę przyczynienia się do rozwoju bytu narodowego Polaków”.

Pragnę zachęcić do pokochania historii Polski, pogłębiania jej znajomości, również w powiązaniu z miejscami, w których żyli i umierali przodkowie. Jest to wszystko niezbędne do refleksji nad wartościami, które mamy obowiązek przekazać swoim dzieciom. Bez tego wysiłku zniszczymy dziedzictwo, jakie otrzymaliśmy od poprzednich pokoleń, a bez pamięci o przeszłości nie ma przyszłości.

Pamięć o silnych wierą pokoleniach przodków uświadamia nam prawdę, którą święta Urszula Ledóchowska wyraziła słowami: „Mój kraj jest tak przedziwnie piękny, że czy kto chce, czy nie, musi go kochać!... Jesteś nieśmiertelny kraju moich przodków, Ojczyzno ukochana, Polsko moja!”



Wprowadzenie

*Cóż za wyższość człowieka nad otaczającymi go zwierzęty, on ma przeszłość.
Gdyby to jedno tylko miał więcej nad nich, jużby miał za co dziękować
Stwórcy, a jednak, jakże to mało kto docenia!¹*

J. I. Kraszewski

Przeszłość, ta odległa tylko o jedno pokolenie, to także pamięć o kochanych ciociach i wujach. Dopóki żyli, my byliśmy młodzi. To oni pamiętali nasze dzieciństwo i wspominali je. W ich oczach zawsze byliśmy dziećmi, bez względu na nasze niekiedy już siwe włosy². Ich już nie ma na tej ziemi, pora im podziękować za wszystkie, dzięki nim, przeżyte wzruszające chwile.

Moi dziadkowie Grzegorz i Emilia z Niedbałów małż. Ratyńscy³ mieli trzech synów i cztery córki.



Grzegorz



Emilia

¹ Józef Ignacy Kraszewski *Wspomnienie z Wołynia, Polesia i Litwy*, Ludowa Spółdzielnia Wydawnicza, Warszawa 1985 r., str. 179.

² Tę myśl ujął Mirosław Żuławski w opowiadaniu *Ciotki*.

³ Patrz: moja-rodzina.com, Przodkowie po matce, Historia Grzegorza i Emilii z Niedbałów małżonków Ratyńskich z Zagłębia Dąbrowskiego.



Od lewej: Grzegorz Ratyński, córki Anna i Emilia, w kapeluszach synowie Ferdynand i Ludwik.

Pozostałe osoby nieznane

Jak to w życiu bywa, życie dziadków wypełniała radość z posiadania dzieci, ale były i chwile tragiczne. Najpierw musieli przeżyć śmierć rocznego synka Stasia w 1905 r. Następnie w nieutulonej żałobie pozostawiła ich nagła, tragiczna w kwietniu 1920 r. śmierć ukochanego syna Ludwika, zwanego przez najbliższych Lutkiem lub Luciem. Został zastrzelony w wieku 24 lat. Tę tragedię dziadek Grzegorz przypłacił życiem. Umarł na serce w listopadzie tego samego roku w wieku 56 lat.

Ludwikowi Ratyńskiemu poświęciłam odrębne wspomnienie⁴. Odrębne wspomnienie to również historia życia mojej mamy – Pelagii Ratyńskiej z męża Kościelnej⁵, najmłodszej z córek naszych dziadków Grzegorza i Emilii Ratyńskich. Niniejszy dokument obejmuje ich pozostałe dzieci: syna Ferdynanda oraz córki Stefanię, Emilię i Annę.

Rodzeństwo Ratyńskich, ciocie i wujowie, żyli ze sobą zgodnie, troszczyli się o siebie. W miarę swoich możliwości przychodzili sobie z pomocą w trudnych chwilach, których im nie brakowało. Łączyło ich mocne przywiązanie i szacunek do wspólnych rodziców i własnego pochodzenia.

Dopiero niedawno dostałam zdjęcie zrobione na początku lat 50. XX wieku, w tle którego jest górna część rodzinnego domu⁶ w Józefowie, od strony podwórza i istniejącej do tej pory ulicy Józefowskiej. To w tym domu toczyło się życie rodziny; tutaj urodziły się młodsze dzieci Grzegorza i Emilii Ratyńskich, tutaj dorastali, zakładali rodziny i mieszkali. Postacie męskie na zdjęciu to nasi sąsiedzi:

⁴ Patrz: moja-rodzina.com, Przodkowie po matce, Nieznana zbrodnia w Zagłębiu Dąbrowskim...

⁵ Patrz: moja-rodzina.com, Przodkowie po matce, Historia życia Pelagii Kościelnej...

⁶ Patrz: moja-rodzina.com, Przodkowie po matce, Historia Grzegorza i Emilii z Niedbałów małżonków Ratyńskich z Zagłębia Dąbrowskiego.



Poniżej zamieszczam jeszcze kilka fotografii, aby chociaż w ten sposób przybliżyć tamtą rzeczywistość.



Z okna wychylają się
moja mama Pelagia
i wuj Stefan Ryńca



Józefów, lata 50. XX
wieku, w niedzielnym
stroju do kościoła



Moja mama Pelagia z siostrzenicą Marysią w ogródku
przed domem w Józefowie



Józefów – na podwórku przed studnią



Widok od ul. Zielonej w kierunku Zagórza. Na zdję-
ciu wieloletnia lokatorka domu rodzinnego, zająca
pani Henryka z domu Tondos, z mężem i córeczką

Chciałoby się za Leopoldem Staffem powtórzyć:

Jakże niedawne czasy – a zda się, ze wieki...

Jak dalekie to wszystko i już niepowrotne...

Tęsknota serce wzbiera...



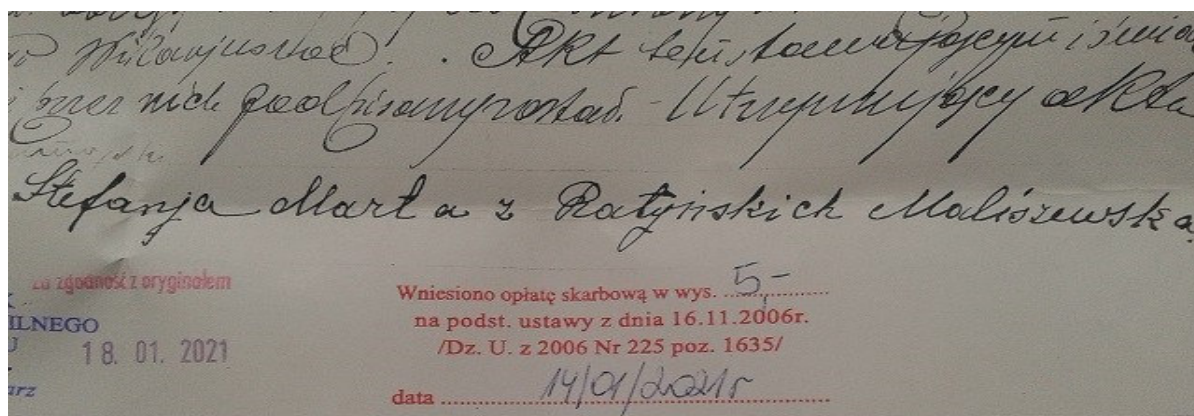
Stefania z Ratyńskich primo voto Maliszewska, secundo voto Ryńcowa

Stefania Marta była najstarszym dzieckiem Grzegorza i Emilii Ratyńskich. Urodziła się 28 lipca 1891 r. w Sosnowcu.

Wspominała często, że jako najstarsza z rodzeństwa, do czasu założenia własnej rodziny, była tą, która najwięcej pomagała w domu i opiekowała się młodszymi dziećmi. To wyrobiło w niej opiekuńczy, choć czasami władczy stosunek do młodszego rodzeństwa. Stefania była też powiernicą swojej młodej mamy⁷. I to Stefania słuchała wspomnień swojego ojca Grzegorza o jego dzieciństwie na tajemniczej Chełmszczyźnie, dlatego była niezastąpioną skarbnicą wiedzy o całej rodzinie, o najdalszych nawet przodkach.

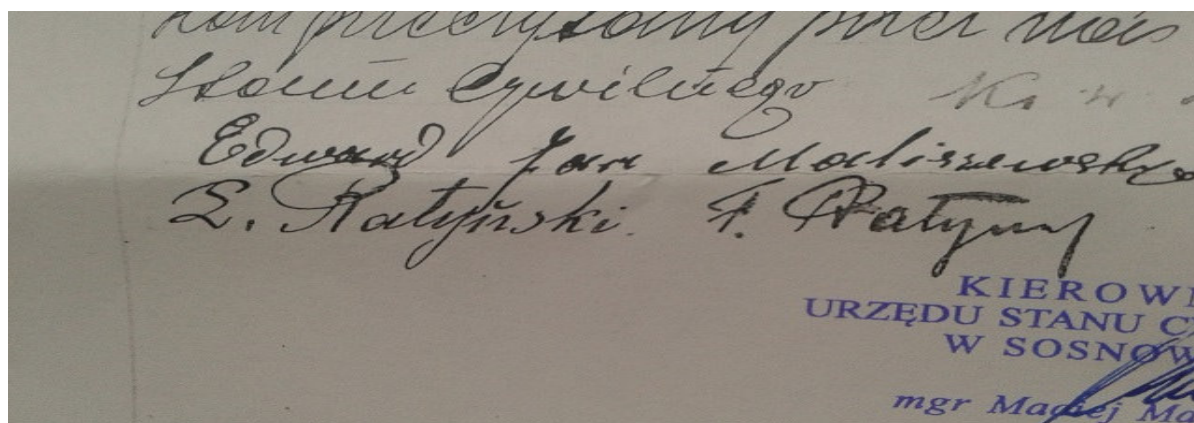


W wieku 27 lat Stefania wyszła za mąż za Edwarda Jana Maliszewskiego. Ślub miał miejsce 4 lipca 1918 r. w Zagórze, o godz. dziewiątej wieczorem. Edward miał 30 lat, był ślusarzem. Urodził się w Bolesławiu, a mieszkał w Olkuszu. Był synem Mikołaja i Cecylii z Paszkowskich małż. Maliszewskich, właścicieli domu. Choć nie wiem, jaką szkołę ukończyła Stefania, to jej piękny podpis złożony na metryce ślubu świadczy o szczególnej dumie z własnego pochodzenia i poczuciu godności.



⁷ Jej matka Emilia, gdy urodziła Stefanię, miała 19 lat.

W metryce zaznaczono również, że Stefania była córką właścicieli domu. Świadcami na ślubie byli bracia Ratyńscy, Ferdynand – handlowiec i Ludwik – sztygar. Obaj podpisali metrykę ślubu, a także podpisał ją Edward Maliszewski. Te podpisy są dla nas bezcenne i jakże wzruszające. Chyba jedyne ślady po naszych bliskich: po kochanej cioci Stefanii, po Ludwiku, którego niebawem życie przecięła kula mordercy i po Edwardzie, który zmarł po niespełna 10 latach małżeństwa. Pewnie o staranne podpisanie metryki ślubu zadbała sama Stefania, gdyż nie zawsze było to praktykowane.



Z małżeństwa z Edwardem urodziło się troje dzieci: Ludwik Marian, zwany Lutkiem lub Luci⁸, Jerzy Wincenty oraz Maria.

Lutek urodził się 11 maja 1920 r. w Józefowie. Jego rodzicami chrzestnymi byli Emilia Ratyńska i Ferdynand Ratyński. Luciu zmarł 14 maja 1925 r. w wieku 5 lat, prawdopodobnie na szkarlatynę lub dyfteryt, których epidemie panowały w owym czasie. O zgonie zawiadomili Ferdynand Ratyński, kupiec z Dąbrowy Górniczej i Leon Maliszewski⁹, maszynista kolejowy z Ząbkowic. Niestety na tych metrykach nie figurują podpisy naszych bliskich.

Jerzy¹⁰ urodził się 25 stycznia 1922 r. w Józefowie o godz. dziesiątej rano. Został ochrzczony 12 lutego tego samego roku, a jego rodzicami chrzestnymi byli Leon Maliszewski

⁸ Tak, jak w rodzinie nazywano brata Stefanii, Ludwika, zamordowanego niespełna miesiąc wcześniej.

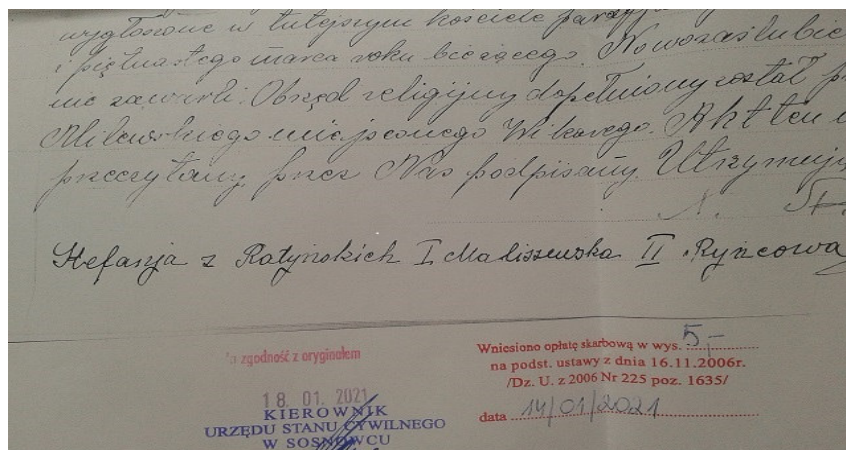
⁹ Był bratem Edwarda, a zarazem mężem Emilii, siostry Stefanii – po prostu dwie siostry Ratyńskie poślubiły dwóch braci Maliszewskich.

¹⁰ Według adnotacji w akcie zgonu Jerzego, ożenił się on w 1951 r. z Emilią Donatą z domu Ptakówną, nazywaną w rodzinie Danusią.

i Marianna Zielonka¹¹. Na metryce poza podpisem kapłana, ks. Zamojskiego, niestety brak podpisów ojca i rodziców chrzestnych. Maria urodziła się w maju 1927 r.

Edward Maliszewski zmarł 4 stycznia 1928 r. w szpitalu renardowskim w Sosnowcu, w wieku 39 lat. O jego zgonie zawiadomili Stefan Bubel¹² i Ernest Niedbał¹³ z Józefowa. Edward został pochowany na cmentarzu w Zagórze.

Stefania po śmierci męża została w trudnej sytuacji, z dwojgiem małych dzieci i bez środków do życia. Ale była dzielna i mądra. Nie prosiła nikogo o pomoc, nie szukała od państwa zasiłków ani alimentów, nie narzekała, tylko poszukiwała męża, aby dać dzieciom ojca i finansowe oparcie dla całej rodziny. Ponieważ bardzo dbała o dobrą opinię jako kobiety, matki i córki, była przy tym wzorową katoliczką, to sprawiło, że zainteresował się nią wdowiec Stefan Ryńca¹⁴, który trochę wcześniej, tj. w 1927 r. stracił żonę (Rozalię z Klęków). Stefan Ryńca cieszył się powszechnym szacunkiem, był również bardzo religijny, toteż mimo różnicy wieku¹⁵ to jego Stefania wybrała na męża i ojca swoich dzieci. Ich ślub miał miejsce 20 kwietnia 1931 r. w Zagórze. Stefan miał 55 lat, mieszkał i pracował w Zagórze. Urodził się w 1875 r. w parafii Poborowiec, gminie Kościelec, powiecie pińczowskim. Był synem Zofii i Michała z Sowińskich. Świadkami na ślubie Stefanii i Stefana byli Walerian Pilarski i Stanisław Duda, obaj z Zagórze. Metryki nie podpisał Stefan. Pewnie kapłan spisujący akt ślubu nie wymagał podpisów nowo zaślubionych, ale Stefania i tak starannie podpisała. Miała zasady...



¹¹ Była siostrą Edwarda i Leona Maliszewskich.

¹² Mieszkał w naszym domu ze swoją rodziną co najmniej do lat 60. XX wieku.

¹³ Kuzyn babci Emilii, mieszkał w naszym domu ze swoją rodziną do około 1950 r.

¹⁴ W rodzinie krążyła żartobliwa opowieść, jak to Stefania przez 2 lata starała się zwrócić na siebie uwagę Stefana, co udało się dzięki małej Marysi, która tuliła się do Stefana i nazywała go „tatusiem”.

¹⁵ Stefania miała prawie 40 lat, była młodsza o ok. 16 lat od Stefana.

Stefan, gdy się żenił, miał syna Władysława (ur. w 1909 r.), który w tym czasie był już na studiach prawniczych w Wilnie. Władysław po ukończeniu studiów do Zagłębia Dąbrowskiego nie wrócił i do końca życia (zm. w 1975 r.) mieszkał w Warszawie.



Stefania i Stefan

Wybór Stefanii i jej drugie małżeństwo, jak pokazało życie, było mądre i słuszne. Przeżyli wspólnie 23 lata. To był czas dobrze wykorzystany. Dzieci miały ojca, który był dla nich autorytetem. W zamian dzieci Stefanii obdarzały go miłością. Był „tatusiem” do końca ich życia. Dzięki mądrymu małżeństwu serce Stefana wypełniła miłość do dzieci oraz ich opieka i troska do końca życia. Stefan zmarł w 1954 r. na serce, nagle na ulicy w Katowicach, czyli w ówczesnym Stalino-grodzie i został pochowany w grobie swojej pierwszej żony na cmentarzu w Zagórze.

Stefania i Stefan przeważnie mieszkali w Józefowie w domu matki Stefanii Emilii Ratyńskiej. I pomagali w gospodarstwie. Emilia miała bowiem pole i łąkę, chowała konia i krowę. Stefan był urzędnikiem w Gminie w Zagórze. Po wielu latach pracy w Gminie, na przełomie lat 1938/39, gdy był tuż przed emeryturą, został z dnia na dzień zwolniony z pracy za przypadkową krytykę Piłsudskiego¹⁶ przy jakimś męsko-koleżeńskim obiedzie-spotkaniu.

Wujostwo Ryńcowie zostali bez środków do życia. Mimo już starszego wieku nie załamali się, tylko w pobliskiej Dąbrowie Górniczej przy ul. Okrzei wynajęli od rodziny Bocianowskich, krewnych Stefanii, lokal i w nim otworzyli sklep z jarzynami. Plony z własnego (Emilii Ratyńskiej) pola nie były wystarczające, dlatego zaopatrzenie w jarzyny np. w czasie wojny zapewniał

¹⁶ W 1938 r. weszła w życie ustawa o ochronie imienia J. Piłsudskiego.

Jerzy, syn Stefanii, który koniem zaprzężonym do furmanki objeżdżał okoliczne wsie i skuppywał płody rolne. Pamiętam, że jeszcze około 1947 r. babcia Emilia miała konia. Zachowało się nawet zdjęcie, na którym wuj Stefan i ja siedzimy na furmance przed wyprawą tym pojazdem na odpust w Zagórze.

Wujostwo sklep prowadzili do około 1946–1947 r. Po objęciu władzy w Polsce przez komunistów nawet tak drobny handel był niszczonej przez konfiskaty i nadmierne podatki. Stefania często wspominała zdarzenie, gdy przyszła tzw. komisja, której dowódca był ze znanej komunistycznej rodziny i zabrała ze sklepu wszystkie ziemniaki. Powtarzała z oburzeniem: „Jak można było zabrać ziemniaki. One były dla ludzi”¹⁷.

W czasie wojny Stefan i Stefania Ryńcowie, mimo starszego już wieku, nie tylko starali się o własne przetrwanie, ale czynnie pomagali potrzebującym. Stefan Ryńca miał wspólnie z sąsiadem Tadeuszem Ordonem koncesję na handel ziemniakami¹⁸, które Niemcy pozwalali sprzedawać tylko wg głodowego przydziału. Sprzedawał je w Józefowie, gdzie mieszkali i dzięki temu mógł swoich sąsiadów, m.in. lokatorów Emilii Ratyńskiej, zaopatrywać w większe ilości ziemniaków, mimo narażania się na surowe represje¹⁹.

W czasie wojny wujostwo Ryńcowie pomagali również Żydom w getcie.²⁰ Przyjazdy do wujostwa do Józefowa wysłanników Władysława Ryńcy²¹ z pieniędzmi i aryjskimi dokumentami wiązały się prawdopodobnie z zapewnieniem bezpieczeństwa Żydom wywożonym z getta. Jerzy, syn Stefanii, który w czasie okupacji pracował na kolei w Będzinie, z przystanku na terenie getta w Sosnowcu²² (sąsiadującego z gettem w Będzinie) zabierał Żydów i wywoził ich poza jego teren. Nie pamiętam czy opowiadał, co z nimi potem się działo, ale zawsze przy tym wspominał Ordona, jakby jego udział czy też pomoc i podkreślał z naciskiem: „Ordonowie to byli bardzo przyzwoici ludzie”. Za każdym ratowanym Żydem kryło się wiele niebezpiecznych działań ze strony Polaków, także

¹⁷ W czasie wojny i po wojnie panował głód. Ziemniaki były podstawą żywienia.

¹⁸ Prawdopodobnie załatwił ją sąsiad Tadeusz Ordon, w 1947 r. bestialsko wraz z rodziną (w tym 10-letnim synkiem) zamordowany przez tzw. nieznaną sprawców.

¹⁹ Patrz: moja-rodzina.com, Przodkowie po matce, Historia Grzegorza i Emilii Ratyńskich.

²⁰ Pisze o tym Henryk Radzki, *Regionalia. Śląski wrzesień*, Wydawnictwa MON, 1973, str. 154, 260-261.

²¹ O Władysławie Ryńcy piszę w oddzielnym tekście. Patrz na stronie: moja-rodzina.com, Przodkowie po matce, Władysław Ryńca.

²² Do getta w Sosnowcu prowadziła bocznicą.

organizacyjnych, włącznie z narażeniem lub poświęceniem życia. Mam nadzieję, że te informacje będą pomocne przy badaniach dotyczących ratowania Żydów przez Polaków w czasie okupacji.

Wracając do wujostwa: Stefan Ryńca był człowiekiem powszechnie szanowanym. Cieszył się takim poważaniem, że około 30 razy był ojcem chrzestnym dzieci²³. Była lokatorka pani Henryka Supernakowa z domu Tondos, gdy ją odwiedziłam około 2010 r., pokazywała mi obraz olejny²⁴ na ścianie, jaki dostała w prezencie ślubnym około 1953 r. od „pana Ryńcy”. Wspominała, że gdy ten obraz zaginął, tak długo szukała, aż znalazła i odkupiła, gdyż taką stanowił dla niej ważną pamiątkę. Czyż takie wspomnienia nie stanowią najlepszego świadectwa o człowieku, którego już od dawna nie ma? Na pogrzebie Stefana w 1954 r. był jego syn Władysław z żoną i dwoma dorastającymi wnukami, którzy niestety chyba już nigdy potem nie odwiedzili grobu swoich dziadków: Rozalii z Kłków i Stefana Ryńców.

Po śmierci Stefana Stefania wraz z córką w latach 1955–1957 wyjechała na środkowe wybrzeże do Sławna. Dopóki żyła i miała siły odwiedzała siostry, zwłaszcza najmłodszą Pelagię w Dąbrowie Górniczej. Tutaj nie zapominała o swoich znajomych z dawnych lat ani o tych, którym w przeszłości służyła pomocą. Miała taki szczególny dar: umiała pomagać innym, ale i zjednywać ich szacunek i wdzięczną pamięć. Uważała, że należy mieć wysokie wymagania co do wyboru towarzystwa i przyjaciół. O jej wyborach niech świadczy treść pocztówki z 1911 r.:



²³ Według przekazu Jerzego Maliszewskiego.

²⁴ Na obrazie zimowy krajobraz, pędzące sanie.



Pierwsza strona pocztówki.

Ciocia Stefania dobrze wiedziała, od kogo zależy jej życie. Wiedziała, że tylko patrząc do góry można w spokoju dojść do swego końca. Pamiętam ją odmawiającą różaniec, a także z otwartą książeczką do nabożeństwa. Nie była z pokolenia czytającego książki czy też prasę. Poza tym, jak wszystkie siostry, miała krótki wzrok. Ale litanie i modlitwy karmiły jej umysł stale i zapewniały wewnętrzny spokój i pogodę ducha.

Ciocia Stefania jest zaprzeczeniem teorii o tzw. zdrowym odżywianiu. Do końca życia lubiła dobra śmietanę, czekoladki i różne smakołyki. Na temat margaryny parskła „niech ją jedzą komuniści”. Gdy słyszała o kawie zbożowej, krzywiła się. Uznawała tylko kawę prawdziwą, bo taka była w jej domu, w dzieciństwie. Żadnych diet nie tolerowała i przeżyła niemal 94 lata.

Może dzięki temu była uśmiechnięta, spokojna, konkretna i życzliwa. Nie rozpamiętywała przeszłości, jasno wyrażała swoje zdanie. Miała poczucie własnej godności, szacunku dla własnej rodziny, pochodzenia, rodzinnej tradycji. Lubiła podróżowanie, odwiedzanie nawet odległej rodziny i znajomych. Gdy była jeszcze w Józefowie, a ja byłem mała, zabierała mnie ze sobą na pielgrzymki czy też na rodzinne wizyty. Wszędzie tam, gdzie w owym czasie mogliśmy dojechać lub dojść. Dzięki niej wiem wszystko to, co napisałam o rodzinie. Ona znała rodzinne powiązania, historie sięgające daleko w przeszłość. Teraz pomagają mi w rozplątywaniu historii naszych

przodków. Np. to, że z Kazią, którą ciocia w Czeladzi odwiedzała z taką serdecznością²⁵, łączyli je wspólni prapradziadkowie Benedykt i Petronela Kręciskowie²⁶. Kto teraz zna, pamięta o swoich prapraprzodkach i utrzymuje przyjazne związki z ich potomkami? Nawet babcie i dziadkowie nie są ważni.

Ciocia Stefania zmarła w Sławnie i tam została pochowana. Już na łożu śmierci w szpitalu życzyła sobie moich odwiedzin. Zawsze była wymagająca. Wsiadłam więc w pociąg i pojechałam. W szpitalu moje ostatnie z nią spotkanie: już odchodziła z tego świata, ale była pogodna, nawet żartowała, choć nie wiem czy przytomnie, ale to przecież nie jest ważne. Wielką łaską jest tak spokojnie odejść z tego świata. Zapamiętałam na zawsze jej śmiejące się oczy zza szkieł okularów.

Przestałem pytać o mój los – i tak tylko Bóg nim rządzi.

Kto za swej duszy pójdzie głos, przed siebie prosto-nie zbłądzi...

Za Tobą pójdę, choć mi Bóg wijatyk dał tak ubogi,

pójdę jedyną z wszystkich dróg,

Gwiazdo Przewodnia mej drogi...

Michał Pawlikowski

²⁵ Córka Kazi, Alicja Kochanowska, była gościem na ślubie córki Stefanii.

²⁶ Patrz strona moja-rodzina.com, Przodkowie po matce, Historia Dziembałów, Kręcisków i Niedbałów.

Ferdynand Ratyński

Wuj Ferdynand, najstarszy syn Grzegorza i Emilii Ratyńskich, urodził się 11 stycznia 1894 r. w Czeladzi. Prawdopodobnie ukończył szkołę handlową. W 1920 r. ożenił się²⁷ z Zofią Pobratynówną, nauczycielką. Małżeństwo było bezdzietne.



W rodzinnych metrykach stanu cywilnego wuj Ferdynand figuruje jako „kupiec” lub „handlowiec”. O rodzaju jego działalności handlowej dowiedziałam się przy okazji kwerendy po przedwojennych zbiorach bibliotecznych²⁸. I tak od co najmniej 1926 r. Ferdynand handlował „towarami różnymi” i ziemiopłodami w Dąbrowie Górniczej przy ul. Królowej Jadwigi 18. Natomiast w latach 1929–1937 prowadził działalność handlową już przy ul. Królowej Jadwigi 34, a numer jego telefonu to 264. W książce telefonów za 1939 już nie figurował. Prawdopodobnie przeniósł swoją działalność handlową do Radomia lub jej całkowicie zaniechał.

Znalazłam też ciekawą wzmiankę, że w 1934 r. wuj Ferdynand posiadał w Dąbrowie dwa konta w PKO: 144647 bez podanej ulicy i 307427 z podaniem ulicy Królowej Jadwigi 34. W 1938 r. istniało tylko drugie konto.

²⁷ Według przekazów rodzinnych Ferdynand i Zofia pobrali się w 1920 r.; nie udało mi się odnaleźć ich aktu ślubu.

²⁸ Korzystałam z ksiąg adresowo-reklamowych Zagłębia Dąbrowskiego dla przemysłu, handlu i finansów, ksiąg adresowych Polski, spisów abonentów sieci telefonicznych i spisów właścicieli kont czekowych PKO (Pocztowa Kasa Oszczędności).

W Dąbrowie Górniczej wujostwo Ratyńscy mieszkali w istniejącym do tej pory piętrowym budynku pod numerem 34, po prawej stronie idąc w kierunku Redenu. W latach dziewięćdziesiątych spotkałam w Dąbrowie Górniczej dawną uczennicę Zofii Ratyńskiej, która dobrze pamiętała swoją nauczycielkę, mile i z szacunkiem ją wspominała, a także wskazała powyższe miejsce jej zamieszkania. Interesy Ferdynanda musiały rozwijać się pomyślnie, gdyż kupił on w Radomiu przy ul. Traugutta, głównej ulicy prowadzącej do dworca kolejowego, dużą nieruchomość. Wybór tego miasta nie był z pewnością przypadkowy. W związku z uruchomieniem linii kolejowej do Warszawy, biegnącej przez Radom, miasto to nabrało znaczenia. Na kupno nieruchomości w Radomiu Ferdynand wziął w 1932 r. pożyczkę pod zastaw w złocie na nieruchomości swojej matki Emilii Ratyńskiej²⁹. Za swojego życia pożyczkę spłacił. Na tej nieruchomości w Radomiu znajdowały się 3 budynki, z których co najmniej jeden, sądząc po nowoczesnej architekturze i wykończeniu okien prawdopodobnie został postawiony staraniem Ferdynanda w latach trzydziestych XX wieku. Po 1945 r. dwa budynki zostały zabrane przez ówczesne władze. W najokazalszym budynku wujostwo Ratyńscy mieszkali do śmierci ponosząc wszystkie ciężary i ograniczenia nakładane na właścicieli przez władze komunistyczne. Budynek ten przeżył komunizm, istnieje do tej pory, a udziały w nim pod koniec XX wieku zostały przez spadkobierców odsprzedane najemcom mieszkań i lokali.



Dom w Radomiu w latach 80-tych XX w.

²⁹ Patrz: moja-rodzina.com, Przodkowie po matce, Historia Grzegorza i Emilii Ratyńskich...

Wedle przekazów rodzinnych wuj Ferdynand miał przed wojną w Radomiu firmę, w której składał rowery, być może na zasadzie współpracy z państwową Fabryką Broni Radom.

Natomiast w czasie okupacji w tej firmie w warunkach konspiracyjnych prowadził składanie pistoletów maszynowych – zapewne typu Sten lub Błyskawica – dla Armii Krajowej, prawdopodobnie we współpracy z Władysławem Ryńcą i jego firmą³⁰. Możliwe, że przedwczesna śmierć wuja Ferdynanda była związana z życiem w stanie ciągłego napięcia i ryzyka podczas okupacji.

W Radomiu Zofia i Ferdynand Ratyńscy żyli i pracowali aż do śmierci. Ferdynand zmarł na raka krtani 12 września 1953 r.; żył lat 59. Zofia Ratyńska w Radomiu pracowała jako nauczycielka i tutaj zmarła 31 lipca 1966 r.; żyła lat 70. Zostali pochowani na cmentarzu rzymskokatolickim w Radomiu, w kwaterze 17³¹. Razem z nimi spoczywa matka Zofii, Honorata Pobratyn z d. Pęczalska, która z nimi mieszkała przez całe ich małżeńskie życie. Zmarła 18.01.1967 r. w wieku 93 lat.



Wuj Ferdynand – zdjęcie
powojenne

Wuja Ferdynanda znałam mało, z powodu odległości Radomia od rodzinnego domu w Józefowie, a także jego przedwczesnej śmierci. Przed oczyma mam jego krótki pobyt w Józefowie, chyba około 1952 r. Był przyjmowany jakoś tak uroczyście, z pewną atencją... Pamiętam ciocię Stefanię pilnującą, aby hałas nie zakłócał Redkowi³² odpoczynku po podróży (może już w tym czasie nie był zdrowy). Moje drugie i ostatnie spotkanie z wujem miało miejsce w szpitalu w Krakowie, gdzie odwiedziłam go razem z Mamą. Wyglądał źle, nie mógł mówić, wiedział, w jakim jest stanie. Była to wizyta smutna, pożegnalna.

Raz też byłam w mieszkaniu wujostwa w Radomiu chyba z Mamą lub z ciocią Stefanią, w okresie, gdy wuj Ferdynand już leżał w szpitalu w Krakowie. Była tylko ciocia Zosia i wtedy ją poznałam oraz jej matka, a także w zamkniętym stale od wewnątrz pokoju nieznana Henryka, siostra Zofii.

³⁰ O Władysławie Ryńcy piszę w oddzielnym tekście. Patrz na stronie: moja-rodzina.com, Przodkowie po matce, Władysław Ryńca.

³¹ W kwaterze nr 17 jest duży zbiorowy grób żołnierzy z 1939 r. i zaraz obok grób Ferdynanda i Zofii Ratyńskich.

³² W rodzinie oryginalne, ale trudne imię Ferdynand zastąpiono zdrobniałym „Redek”.

Na małej dziewczynce, jaką w owym czasie byłam, mieszkanie zrobiło wielkie wrażenie. Było piękne, przestronne, z parkietową podłogą, dużymi tzw. weneckimi oknami. Pełne ciekawych zakamarków i okazałych mebli, takich jak dostojny pokojowy kredens, wytworna otomana, komoda z szufladami kuszącymi swoimi skarbami. Pełno różnych szafek, stolików, obrazów i gobelinów.



Ciocia Zosia w swoim mieszkaniu

W 2016 r., podróżując śladami przodków, z córką Małgosią odwiedziłam Radom. Byłam w mieszkaniu sąsiadującym z dawnym mieszkaniem wujostwa. Przyjęta życzliwie przez jego właścicielkę, prosiłam o wspomnienia. Pani X zajmowała to mieszkanie jeszcze przed wojną. Opowiadała, że, jak to dawniej bywało przed wojną, szanujący się właściciel wynajmował mieszkania tylko takim lokatorom, którzy cieszyli się dobrą opinią i zapewniali szanowanie prywatnej własności, jaką był dom ich zamieszkania. W zamian mieszkali oni w warunkach godziwych, bez troski o własność, w sąsiedztwie osób dobrze wychowanych i kulturalnych. Według przekazu pani X dom cieszył się bardzo dobrą opinią, gdyż mieszkania pan Ratyński wynajmował tylko szczególnym lokatorom. Była to elita: mieszkali w nim sędzia, pianistka, żona starosty, dyrektor banku. Opowiadała też, że przy budynku stał barak, w którym wuj przechowywał różne trofea myśliwskie, np. wyprawione ptaki czy też zwierzęta po polowaniu. Być może wuj Ferdynand był myśliwym i chodził na polowania z Józefem Aniołem, leśniczym, mężem swojej siostry Anny.

Po wizycie w dawnym domu wuja, po napełnieniu serca wspomnieniami i atmosferą przeszłości pojechaliśmy z Małgosią na cmentarz, aby przy grobie wujostwa modlitwą i zadumą pożegnać ostatniego z mojej linii Ratyńskich.



W oczekiwaniu ranka

Spoczęli już:

Nie mąćmy ich spokoju męką swą,

Wrzawą swych skarg i samolubstwa burz

Po nich, co słodko śnią...

A wielki życia nurt mimo nich pędzi w dal...

kard. Jan Henryk Newman, Oksford 1835

Emilia Julia z Ratyńskich Maliszewska

Emilia Julia Ratyńska urodziła się 11 lutego 1898 r. w Józefowie. Była drugą z kolei córką Grzegorza i Emilii Ratyńskich. Według rodzinnego przekazu była najładniejszą z sióstr Ratyńskich. 22 listopada 1920 r. wyszła za mąż za Leona Maliszewskiego, lat 26, ślusarza, zamieszkałego w Józefowie.



Leon urodził się w Bolesławiu, parafii Olkusz jako syn Mikołaja i Cecylii z Paszkowskich. Świadcami na ich ślubie byli Edward Maliszewski, ślusarz, brat Leona, a zarazem mąż Stefanii, najstarszej siostry Emilii oraz Ferdynand Ratyński, kupiec, brat Emilii. Niestety kapłan spisujący akt ślubu nie wymagał jego podpisania przez nowo zaślubionych małżonków ani przez świadków i nie ma ich podpisów z tamtego okresu.

Po ślubie Emilia i Leon mieszkali w Józefowie w rodzinnym domu Emilii. Tutaj w 1921 r. urodził się ich synek Marian, zwany Marysiem. Po paru latach małżeństwa Emilia i Leon zamieszkali w Ząbkowicach Będzińskich, gdzie kupili lub sami wybudowali przestronny, nowoczesny piętrowy dom na tzw. placach, położony w bardzo dobrym miejscu, niemal naprzeciwko lasu, a także blisko dworca kolejowego. Było to ważne, gdyż Leon pracował jako maszynista kolejowy. Emilia i Leon mieli jeszcze dwie córki: starszą Helenę (nazywaną Haliną) oraz Romanę, urodzoną w sierpniu 1927 r. W życiu wujostwa, po szczęśliwym okresie narodzin dzieci i posiadania własnego domu, przyszedł trudny czas. W Ząbkowicach 27 listopada 1925 r., w wieku 4 lat zmarł synek Maryś. O jego śmierci zawiadomili Józef Anioł, leśniczy i Ferdynand Ratyński, handlowiec. Następnie w 1937 r. przechodząc przez tory tragicznie zginął Leon. O jego zgonie zawiadomili Franciszek Zielonka³³, kupiec z Olkusza i Antoni Zarębski z Ząbkowic. Emilia nie wyszła drugi raz za mąż i mieszkała z córką Romą. Druga córka Helena mieszkała w czasie wojny w Józefowie chroniąc się przed wywozem na roboty do Niemiec. Emilia Maliszewska długo chorowała,

³³ Mąż Marianny, siostry Leona.

zmarła 15 listopada 1970 r. i spoczywa na cmentarzu w Ząbkowicach. Do końca życia opiekowała się nią córka Roma, która również zawsze pamiętała o czci należnej przodkom i miejscu ich doczesnego spoczynku na cmentarzu w Zagórze.

Opowiem o pewnym rodzinnym spotkaniu, które pozostawiło we mnie bardzo, bardzo ciepłe wspomnienie o cioci Mili. Było to 13 czerwca około 1950 r., w liturgiczne wspomnienie św. Antoniego, a zarazem patrona kościoła w Gołonogu. Był w tym kościele odpust, uroczystości, prawdziwa Msza św. A potem na zboczach góry gołonoskiej, jeszcze wtedy nie zalesionych, odpoczynek na trawie. Na kocu rozłożono poczęstunek, jakieś smakowitości, już nie pamiętam jakie, ale po długiej wędrówce z Józefowa do Gołonoga, uroczystościach w kościele, wszystko było wspaniałe. Słoneczko oświeślało siostry Ratyńskie: Stefanię, Emilię i Pelagię. Była Roma i ja. Czuło się radość nas wszystkich ze wspólnego świętowania, ale szczególnie we wspomnieniach wiąże się ona z obecnością cioci Mili i Romy. Nie pamiętam z jakich powodów, ale one wtedy były dla pozostałych sióstr najważniejsze. Może na horyzoncie pojawił się już Antoni, przyszły mąż Romy... W każdym razie zapamiętałam ciocię Milę w takim właśnie niedzielnym, spokojnym świetle. Myślę, że Emilia, podobnie jak jej starsza siostra Stefania, miała dystans do cierpienia, jakie przynosi życie. Mimo krzyży, jakie na nią spadały, była pogodna i ostatecznie spokojna, zwłaszcza że miała przy sobie troskliwą córkę Romę.

Z dawna nasza Ty Królowo. O Maryjo!

Ach, za nami przemów słowo. O, Maryjo!

Ochromiałym podaj rękę.

Niewytrwałym skracaj mękę.

Twe królestwo weź w porękę. O Maryjo!

Kornel Ujejski

Anna Stanisława z Ratyńskich Aniołowa

Ach, ciocia Hanka! Zapewniała raj na ziemi dzieciom swoich sióstr. Ale po kolei...

Anna Stanisława Ratyńska urodziła się 17 czerwca 1900 r. w Józefowie. Była trzecią córką Grzegorza i Emilii Ratyńskich. Nie wiem, jaką skończyła szkołę, ale dobrze pamiętała język rosyjski i przed zamążpójściem pracowała



jako urzędniczka. Około 1926 r. poślubiła Józefa Anioła, leśniczego w pobliskich Strzemieszytach³⁴. W rodzinnych przekazach mowa była o wielkiej miłości Józefa do Anny i wytrwałym staraniu się u jej matki Emilii o zgodę na małżeństwo.

Strzemieszyce

Po ślubie małżonkowie mieszkali w leśniczówce w Strzemieszytach Małych. Tutaj 13 marca 1927 r. urodziła się ich córka Józefa, zwana Krystyną, a parę lat później syn Janusz. Leśniczówka była miejscem spotkań rodzinnych i odpoczynku dla dzieci sióstr. Tutaj miało miejsce przyjęcie ślubne siostry Pelagii w 1934 r. Dzięki możliwości korzystania przez wujostwo z bryczki wzajemne kontakty rodzinne były żywe i serdeczne. Leśniczówki już dawno nie ma, została zburzona w związku z rozbudową przemysłu³⁵.

Przypomnę pewne zdarzenie, jakie miało miejsce około 1995 r. (po około 60 latach). Na przystanku w Strzemieszytach Małych czekając na autobus zapytałam jakiegoś stojącego obok starszego mężczyznę, gdzie była owa leśniczówka. Gdy dodałam, że tutaj mieszkał mój wuj leśni-

³⁴ Obecnie dzielnica Dąbrowy Górniczej.

³⁵ Huty Katowice i koksowni.

czy Józef Anioł, usłyszałam wzruszającą opowieść. Mój rozmówca opowiedział, że znał pana Anioła i zapamiętał go z wdzięcznością na całe życie. Powiedział: „Pan Anioł zrobił ze mnie uczciwego człowieka. Jako młody chłopak ukradłem z lasu drzewo. Pan Anioł powinien był zawiadomić o tym policję. Tymczasem on dał mi szansę poprawy. Powiedział mi: ja nic nie powiem, ale ty już nigdy więcej nie kradnij”. Mój rozmówca dodał, że było mu tak wstyd, że już nigdy w życiu nie pokusił się na cudzą własność.

Luciejów

W drugiej połowie lat 30. wuj Józef został przeniesiony do leśnictwa w Luciejowie.

Wyjazdy do Luciejowa to są moje piękne wspomnienia z dzieciństwa. Szczególnie pamiętam wyprawę do Luciejowa razem z ciocią Stefanią około 1949 r. Najpierw była pobudka przed świtem (do tej pory czuję tę okropną walkę z błogą sennością!). Potem pieszo do Dąbrowy na stację. Następnie pociągiem do Częstochowy. W Częstochowie przesiadka do Siemkowic; w Siemkowicach – do Kozub. Za oknem pociągu niekończące się żółte łąny. To kwitnący łubin. Słoneczny łubinowy ocean i wakacje. Nareszcie Kozuby. Mimo zmęczenia całodzienną podróżą podniecenie: czy będą konie? Wsiadamy – są! Jest bryczka, zaprzężona w dwa potężne deresze, na koźle zaprzyjaźniony Bolek. Wsiadamy do bryczki i jedziemy najpierw przez wieś, potem lasem do Luciejowa, prawie 8 km. Wszystko pachnie, szumi, śpiewa. Raj na ziemi...

Wujostwo Aniołowie zajmowali w Luciejowie leśniczówkę, którą z trzech stron okalał ogród, a czwarta strona leśniczówki wychodziła na podwórze i budynki gospodarcze. Całość była ogrodzona solidnym drewnianym płotem. Za płotem z dwóch stron było pole, za polem niekończący się las. Niejako swoim frontem leśniczówka była skierowana ku wiejskiej drodze, z której prostopadle gościńcem dochodziło się do wsi, do Luciejowa.

Ogród zasługuje na wspomnienie. Od strony drogi wśród krzewów i drzew liściastych rosło także trochę sosen i świerków, które podkreślały oficjalne, nie co parkowe wejście dla gości, wykonane rabatami pełnymi pachnących róż i lewkonii. Rabaty kwiatowe od werandy, przez która prowadziło wejście do kancelarii, dzieliła alejka, wysadzana dla odmiany różami tzw. dzikimi, o bardzo silnym zapachu. Ta pachnąca alejka prowadziła dookoła domu, aż do wejścia dla domowników, od podwórza. Stopniowo ogród zmieniał charakter – od drzew ozdobnych, po drzewa owocowe, głównie jabłonie (pamiętam kosztele) i śliwy (renklody), po nich krzewy agrestu

i porzeczek, jeszcze trochę grządek kwiatowych. Resztę ogrodu zajmował ogromny warzywnik. Niektóre grządki były urozmaicone uśmiechniętymi nasturcjami. Wujostwo mieli jeszcze drugi ogród z czereśniami i wiśniami. Jakby tego witaminowego szczęścia było jeszcze mało, za ogrodzeniem, po przeciwnej stronie drogi, był jeszcze duży zagon z truskawkami. Pamiętam ogromne kosze pełne tych owoców, które były wysyłane do Łodzi. Przede wszystkim pamiętam to owocowe obżarstwo, bajkowy smak koszteli i renklod. Nigdy już nie jadłam takich pachnących jabłek i śliwek, czereśni i truskawek, porzeczek i agrestu. Te owoce miały jeszcze swój szlachetny naturalny smak i zapach, zniszczone później przez sadownicze eksperymenty. Od strony południowej z domu zwisała winna latorośl, też szczególnej gatunkowo odmiany, dając duże i słodkie owoce. U cioci Hanki wszystko musiało być jak się należy, w najlepszym gatunku, nawet owoce.

W głębi ogrodu w pobliżu ogrodzenia, wśród zieleni ukryta była altana, dająca niekiedy schronienie młodym parom. Na podwórzu, które miało kształt dużego kwadratu po lewej stronie domu była letnia kuchnia. Tam w lecie przygotowywano posiłki. Dalej rosło parę jarzębin, których korale już w lipcu ozdabiały podwórze. Za nimi była brama wyjazdowa na pole, potem wielka stodoła, spiżarnia ziemna i buda z groźnym psem, zwanym Smykiem. A za nim wiejska toaleta. Nie wiem czy Smyk pilnował spiżarni, czy też wejścia do toalety, bo to drugie było zawsze ryzykowne. I już po lewej stronie podwórza kurnik, obora, stajnia, drewutnia. Podwórze od strony niewielkiej łąki zamykała furtka i brama, zakończone od góry ozdobnymi zadaszeniami. Taka też furtka prowadziła do kancelarii.

Na przylegającej do gościńca łące wśród najprzeróżniejszego kwiecia, rwetesu pszczoł, os i trzmieli, bogactwa motyli, wśród których swoją urodą wyróżniały się rusalki, można było leżeć, patrzeć w niebo i w odurzeniu kwiatowymi zapachami słuchać łąkowej muzyki i za Kazimierą Iłłakowiczówną powtarzać:

*Motyl się w niebo wznosi jak cherubin,
gdzieniegdzie kąkol fiołkowy przebłyśka.
Mieni się chabrów szafir, maków rubin,
słońce promienie gorejące ciska.*

A bardziej prozaicznie: niekiedy na łące pasiono krowy. Bywało, że ciocia zbierała tam pieczarki.

A leśniczówka? Idąc wejściem od podwórza: najpierw była kuchnia, w lecie nieużywana. Potem środkowy pokój, można go nazwać dziennym. Od niego prosto była sypialnia, a w lewo pokój paradny, zawsze chłodny, tajemniczy z ogromnym wspaniałym kredensem, pełnym kolumnienek i zakamarków, kryjących różne specjały, z samowarem, ze skórą z dzików na podłodze i ścianie. Z tego pokoju wejście prowadziło na werandę i do kancelarii. Niekiedy na werandzie mieszkała wiewiórka, uratowana z życiowych wiewiórczych przygód. Niekiedy nocowali tam różni ważni goście. Okna pokoju dziennego i sypialni wychodziły na pachnącą alejkę i miłe zapachy budziły rannym. Ciocia Hanka dbała też, aby w pokojach były świeże kwiaty i może dzięki temu w mojej pamięci pozostały zapachy tych pokoi. W paradnym były to zazwyczaj róże, w dziennym – lewkonie; w sypialni niekiedy lwie paszcze. Dla mnie najmiłszy był zapach pokoju dziennego, zapach lewkonii.

Wielkim wydarzeniem były podróże bryczką zaprzężoną w dwa potężne derese.

Pamiętam bardzo długą przez las wyprawę z wujostwem do leśniczówki państwa Wronskich, a także pewnej niedzieli do kościoła. Po wyjściu z kościoła jakże piękny widok: wszystkie dziewczęta i kobiety były w białych, haftowanych bluzkach oraz w wełnianych, pasiastych kolorowych spódnicach w tonacji pomarańczowej i takich samych zapaskach naramiennych. Takie zapaski używano też zamiast swetrów. Ciocia zakładała zapaskę, gdy było chłodniej lub przed zmrokiem. Zapaski zakrywały sylwetkę poniżej pasa i dzięki temu były nie tylko wygodne i ciepłe, ale też czyniły kobietę tajemniczą, piękną. Oby wróciła moda na polskość, na naszą historię, tradycję i nasze zwyczaje. Tylko one chronią nas przed samozagładą.

Do leśniczówki należało jeszcze pobliskie pole, wymagające uprawy. Tak jak to jest w gospodarstwie. Pensje leśniczych były niskie i uzupełniały je w pewien sposób służbowe leśniczówki wraz gruntami do uprawy. Na wsi, w Luciejowie, własne gospodarstwo rolne zapewniało zaopatrzenie w żywność i z tych powodów było konieczne. Nieobce wujostwu były wszystkie prace polne: sianie, żniwa, kopanie kartofli. Szczególnie uciążliwe dla cioci, do której obowiązków należało zapewnienie posiłków i napojów³⁶ pracującym w polu. A przecież były jeszcze krowy, dwa konie, trzoda, kury i w ogóle drób różnego rodzaju. Jednym słowem ogromne, tętniące życiem gospodarstwo.

³⁶ Była to najczęściej kawa zbożowa z mlekiem.

Ogród, pole i gospodarstwo wymagały wielkiego trudu, ciągłej pracy. Wuj Józef dużo pracował w lesie lub w kancelarii w leśnictwie, a ciocia Hanka nie była w stanie zadbać o gospodarstwo i potrzebowała pomocy. Dlatego już od czasów strzemieszyckich u wujostwa była Helena K. Dla mnie była Helenką. Pochodziła z Łośnia, z dużej rodziny. Gdy tylko miałam okazję prosiłam, aby wymieniała mi, a czyniła to chętnie, imiona swojego rodzeństwa, tylko po to, aby usłyszeć imię „Florentyna”³⁷, które brzmiało tak romantycznie. Bardzo lubiłam Helenkę, bez niej nie byłoby tego raju u wujostwa.

Warto wspomnieć o wytwornych przyjęciach, jakie wydawała ciocia Hanka. W Luciejowie często bywali ważni goście, m. in. różni profesorowie z Łodzi³⁸, którzy tutaj przyjeżdżali na letnisko lub krótki wypoczynek. Należało przyjąć ich godnie, na miarę nie tylko ambitnej leśniczyny, ale i córki szlacheckiej³⁹. Toteż przyjęcia były bardzo wytworne. Zawsze w pokoju paradnym, przy stole nakrytym gościnną porcelanową zastawą, srebrnymi sztućcami i zestawem wyśmienitych potraw na półmiskach.

Zapamiętałam pewien drobiazg – duże półmiski z młodymi ziemniakami, wielkości orzecha, polane masłem z koperkiem (duże ziemniaki były dla zwierząt). Ileż trudu wymagało obranie takich malutkich kartofelków! Była to zasługa niestrudzonej Helenki. Mimo braku lodówek bywały również lody, prawdziwe lody ze śmietanki, kręcone w specjalnej wirówce i przechowywane w ziemnej spizarni, gdzie było bardzo zimno. Smak wszystkich potraw, ich urozmaicenie, podanie – to było na miarę szlacheckiego dworu. Ciocia Hanka nie uznawała żadnego oszustwa w kuchni.

Zresztą i codzienne posiłki były zawsze starannie podane. Pamiętam wuja Józefa, który około godz. 10 przychodził na śniadanie. Jadł je w pokoju dziennym, przy stole zawsze nakrytym śnieżnobiałą (a pralek nie było) serwetą, w skromniejszej, fajansowej zastawie. Dla mnie filiżanki, w których wuj pił poranna kawę, były najpiękniejsze. Zawsze takie chciałam mieć i... nie miałam. A teraz to już tylko wspomnienia. Mój podziw budził wujowy sposób „rozprawiania się” z jajkiem na miękko, gdy jajku w kieliszku wprawnym ruchem noża wuj odcinał górę. A zapach i smak

³⁷ Imię jednej z jej siostr.

³⁸ Od jednego z nich mam opracowanie z dedykacją z 1947 r.

³⁹ Patrz: moja-rodzina.com, Przodkowie po matce.

maselka, twarożku⁴⁰, porannej zbożowej kawy, też szczególnej jakości, tego nie da się przekazać. Pozostało tylko tęskne wspomnienie...

Wuj Józef był pogodny, lekko pod małym wąsikiem uśmiechnięty, lubił żartować. Miał sprężystą, wyprostowaną sylwetkę, żadnego tam brzucha z obżarstwa czy opilstwa. Moi wujowie zresztą w ogóle mieli charaktery⁴¹, co wyrażało się w ich schludnym zewnętrznym wyglądzie. Chodził krokiem żołnierskim, zawsze w zielonym mundurze leśniczego, najczęściej w butach oficerskich⁴² i oficerskich bryczesach. Był przy tym bardzo skromny, cichy i serdeczny.

Dla mnie i myślę, że dla całej rodziny, był bardzo ważny.

Ciocia Hanka dla odmiany zawsze zaaferowana, zamartwiająca się codziennymi obowiązkami i nadmiarem pracy. Zapamiętałam wieczory, kiedy wuj już spał, a ciocia w pokoju dziennym utrudzona pracą klękała do długiego pacierza.

W czasie okupacji niemieckiej, a może i później, wuj Józef czynnie współpracował z oddziałami partyzanckimi, jakie działały w lesie objętym jego dozorem. Z tego powodu w tamtych trudnych powojennych czasach wisiały nad nim czarne chmury. Ponieważ był powszechnie szanowany i lubiany, skończyło się na służbowym przeniesieniu do Poddębic, na stanowisko urzędnicze, może nadleśniczego lub jego zastępcy. Wiązała się z tym smutna konieczność likwidacji całego dobytku i tego całego szczekającego, beczącego, parskającego, gdakającego podwórkowego towarzystwa. Było to z pewnością trudne przeżycie, ale i miało dobre strony. W miasteczku, jakim były Poddębice, można było z prowadzenia gospodarstwa zrezygnować, zwłaszcza, że z racji wieku wujostwo sił na jego prowadzenie mieli coraz mniej.

Poddębice

W Poddębicach wujostwo zamieszkali około 1950 r. przy obecnej ulicy Łódzkiej, po prawej stronie idąc od cmentarza w kierunku rynku. Zajęli jedno z mieszkań w parterowym domu, z oddzielnym wejściem. Na drugim końcu tego budynku mieszkał kowal, pan Matusiak, a na rogu ulicy przy domu miał kuźnię. Toteż od rana słychać było walenie młotem i rzenie koni, sypały się iskry z rozżarzonego paleniska.

⁴⁰ Z mleka pełnotłustego.

⁴¹ Może wynikające z wychowania i religijności.

⁴² Do zdejmowania wysokich butów zwanych oficerkami służył tzw. piesek.

Widok dawniej powszedni, dziś nieomal egzotyczny.

Do mieszkania wujostwa przylegał ogródek, w którym ciocia uprawiała głównie ziemniaki i trochę jarzyn do codziennego użytku. Za domem w budynku gospodarczym wujostwo jeszcze przez pewien czas trzymali krowę i chyba parę kur. Łączyło się to obowiązkami, ale przy niskich pensjach ułatwiała przeżycie. Wujostwo zajmowali 3 pokoje z dużą kuchnią. Były to przylegający do kuchni pokój gościnny z meblami z pokoju paradnego z Luciejowa, wśród których królował okazały kredens. Obok była sypialnia i na końcu, z oknami od podwórza, tzw. biblioteka. Był tam patefon, stos płyt i w ogóle dużo ciekawych, dawnych przedmiotów. Głównym meblem była właśnie biblioteka, tj. dwudrzwiowa szafa z dużą szufladą. W szafie były książki, a wśród nich *Awan-tura o Basię* Kornela Makuszyńskiego, którą zaczytywałam się w czasie każdego pobytu. W szufladzie były natomiast same skarby: mnóstwo pudełeczek tajemniczych, koralików, fotografii np. przedwojennych aktorów, kokardek, pamiątkowych przedmiotów. Wszystko starannie poskładane, uporządkowane.

Właściwie najważniejsza była dla mnie ta szuflada⁴³. Do biblioteki dla takich gości jak ja wstęp był w zasadzie wzbroniony. Na szczęście ciocia nie była surowym jej stróżem, więc do tej pory pamiętam ten zapach starych książek i zanurzenie się w szufladowe okruchy przeszłości. I pewnie dlatego zawsze lubiłam szuflady i piszę te wspomnienia...

Ważne były dni targowe. Z tej okazji na rynku rozstawiano stragany, przyjeżdżali rolnicy z okolicznych wiosek ze swoimi produktami. Gwar, kwik, gdakanie, ruch i smakowite zapachy świeżych jarzyn. Ciocia z Helą z dużymi kosztami wyruszały po zakupy: było wybieranie, targowanie, a potem w domu zupa jarzynowa, najbardziej w lecie ceniona, pracochłonna. Wszystko musiało być świeżutkie, jarzyny drobno pokrojone i te zapachy. W ogóle świat pachniał i każde wspomnienie łączy się z jakimś zapachem, który nie sposób opisać, więc niech to będą zapachy kwiatów, łąki, pokojów, szaf, jarzyn, owoców.

Wuj Józef pracował w nadleśnictwie w odległości około 10 minut drogi. Pamiętam go z tamtego okresu obłożonego płachtami arkuszy papieru, cyferkami wypełniającego mnóstwo rubryk. Nie rozumiałam, po co te arkusze, po co rubryki i cyferki, co las i drzewa mają z nimi wspólnego. Myślę, że przy tej papierkowej pracy wuj trochę tęsknił za lasem. Ale był z pokolenia,

⁴³ Szkoda, że dzisiejsze meble nie mają szuflad, w których można przechować przeszłość...

które rozumiało konieczność godzenia się z sytuacją, z przemijaniem. Pamiętam, gdy swoim żołnierskim krokiem, zawsze w mundurze galowym w niedzielę z książeczką do nabożeństwa szedł do kościoła na sumę⁴⁴ oddać cześć Panu Bogu. Towarzyszył temu szczególny nastrój. Ten niedzielny dzień wyróżniał się od innych odświętnym ubraniem, spokojem, nastrojem domowników, celebrowaniem obiadu. To był dzień, na który się czekało, tak to zapamiętałam. Natomiast ciocia w niedzielę na Mszę św. wybierała się rano, aby jako wzorowa żona podać śniadanie i przygotować obiad.

Na tę poranną Mszę św. chodziła też zawsze Helenka. Zachowało się, miłe memu sercu, jej zdjęcie idącej do kościoła, tak jak się należało wtedy, z książeczką do nabożeństwa, odświętnie ubraną.



Ciocia Hanka – podobnie jak jej siostra Stefania – przywiązywała dużą rolę do dobrego towarzystwa. W Poddębicach odwiedzała ją zacna pani Kańska, chyba z Kresów, o ciekawej przeszłości, zdaje się, że syberyjskiej. Była przyjmowana z dużą rewerencją. Jej syn Mariusz pracował razem z wujem.

W życiu wujostwa zawsze ważni byli goście. Już nie było wystawnych przyjęć, ale najbliżsi nie omijali Poddębic. Najczęściej były to już dzieci i wnuki – Ewa i Włodek, a także siostry,

⁴⁴ Uroczysta Msza św. z aspersją, okadzeniem, śpiewem, jeszcze przed rewolucją soborową.

a zwłaszcza dzieci sióstr. Wydarzeniem końca tygodnia był autobus z Łodzi, przejeżdżający koło domu ul. Łódzką do rynku. Oczekiwanie: czy przyjechali, czy będą... i... są! Radość, powitanie, ciocine smakołyki. Siostry i ich dzieci kochały wujostwo i w ich domu czuli się znakomicie.

Edmundów

Chyba z uwagi na wiek w 1959 r. wuj Józef został przeniesiony na nową placówkę do Edmundowa, obecnie należącego do wsi Smardzew, w gminie Wróblew, pow. Sieradz. To była łatwiejsza praca – prowadzenie szkółki leśnej.

Wujostwo zajęli mieszkanie w dawnym dworze⁴⁵, na parterze, po lewej stronie, stojąc twarzą do jego fasady. Były to dwa lub trzy pokoje z kuchnią. Te same meble, skóry dzików, narzuty, rogi jelenia i sarny, wszystko to przypominało poprzednie miejsca wakacyjne u wujostwa. Dwór był położony z dala od wsi, w romantycznej scenerii: prowadziła do niego długa aleja zakończona rozległym gazonem, a dookoła otaczał parkowy starodrzew. Odwiedzanie wujostwa było już trudniejsze, gdyż siostry były coraz starsze, a ich dzieci osiadłe w różnych częściach naszego kraju zajęte swoimi rodzinami. Najwierniejszy jednak potrzebie kontaktu i odwiedzania cioci Hanki i wuja był syn siostry Stefanii, Jurek Maliszewski. Gdy tylko mógł, z żoną Danusią i synami Jurkiem i Wojtkiem zajeżdżał do Edmundowa. Wojtek do tej pory pamięta pobyt w Edmundowie, a zwłaszcza taras i skóry z dzika.

To nasze wielkie szczęście, że mieliśmy takich kochanych ciocię Hankę i wuja Józefa, którzy zawsze spokojnie i serdecznie przyjmowali nasze „naloty”. Pewnej jesieni wybrałam się do Edmundowa i ten krótki pobyt pozostał w mojej pamięci pod znakiem aromatycznego zapachu gruszek suszonych w piekarniku. Były przepyszne i kusily, choć ciocia pilnowała, aby znikwały w tajemniczy sposób...

Ale wkrótce przyszedł smutny czas. W 1965 r. wuj uległ wypadkowi i zmarł w szpitalu w Sieradzu; został pochowany na Cmentarzu Powązkowskim. Ciocia Hanka została sama z Helą. Potrzebowały opieki i pomocy, na które w Edmundowie z dala od wsi i miasta nie mogły liczyć. Należało opuścić Edmundów i szukać swojego miejsca na dalsze życie. I tak też się stało. Helenka znalazła miejsce w domu w Witowie koło Burzenina. Ciocia Hanka zlikwidowała cały swój doro-

⁴⁵ Z początku XX wieku.

bek życia (zaczarowany ogromny kredens znalazł nowego właściciela) i wyjechała do córki do Warszawy. Jej pobyt w Warszawie w tym czasie był krótki, gdyż została zaproszona do Dąbrowy Górniczej do siostry Pelagii, gdzie mieszkała parę lat. Czas z ciocią był wielce ubogacający. Uczył ograniczania własnego egoizmu i wygodnictwa, a także szacunku dla osób starszych. Wszyscy z czworga domowników starali się, aby ciocia czuła się osobą najważniejszą, tą, do której należy ster życia rodzinnego. Po prostu – ciocia rządziła. Za to ciocia rewanżowała się swoją codzienną dbałością o wszystkich i wymyślaniem smakowitych potraw i wypieków. Najbardziej korzystał na tym mąż siostry, któremu szczególnie dogadzała. Były też wspólne spacerunki, rozmowy, wspomnianie czasów młodości, a także wspólne z siostrą Pelagią wyjazdy na wypoczynek do pobliskich Żarek. Ciocia w tym czasie już była chora na serce, miewała ataki duszności i troska o nią była prawie codziennym gościem. Na Święta robiliśmy paczki ze smakołykami dla Helenki, która zmarła chyba około 1970 r. i miała być pochowana na cmentarzu w Burzeninie. Atrakcją były odwiedziny jak zawsze niezawodnego Jurka, mieszkającego w Szczawnie-Zdroju. Z racji dyrektorskich obowiązków często przyjeżdżał do Katowic i Zabrza. Mógł wygodnie mieszkać w hotelu, a tymczasem narażał się na niewygodną podróż pociągiem do Dąbrowy i ranne wstawanie, aby choć na jeden wieczór przyjechać i uściskać swoje ciocie. Zawsze serdeczny, pogodny i oddany rodzinie.

Niech te lata w Dąbrowie i częste odwiedziny Jurka będą przykładem węzłów rodzinnych, także przywiązania i do cioci Hanki.

Może rok lub dwa przed śmiercią ciocia Hanka wróciła do Warszawy i tam zmarła na serce w marcu 1973 r. Została pochowana razem ze swoim mężem, a naszym wujem Józefem, na Cmentarzu Powązkowskim.

I taka dygresja: życie wujostwa to służbowe mieszkania, przeprowadzki, zależność od przełożonych, brak majątku, a jednak tylu dzieciom z rodziny potrafili zapewnić szczęśliwe chwile i niezapomniane wspomnienia. Jak to nie od majątku, tylko od ludzkiego serca dobro w życiu zależy.

Ilustracją tej refleksji niech będzie wspomnienie o dwóch wyprawach. Pierwsza miała miejsce w 1984 r. wkrótce po śmierci cioci Stefanii, a w rok po śmierci mojej mamy Pelagii. Jurek i ja pozostaliśmy z obolałymi sercami z powodu utraty naszych ukochanych Mam. Aby ten ból złagodzić wybraliśmy się w podróż w przeszłość, m.in. śladami cioci Hanki. Wyruszyliśmy moim maluchem na nocleg do Kielc, po drodze wstępując do kościoła w Kromoławie, w którym pro-

boszczem w XIX wieku był brat naszej prababci, ks. Józef Leśniowski⁴⁶. W zakrystii kościoła odkryliśmy na ścianie portret „naszego” księdza. Wielka to była radość! To był w owym czasie jedyny znany nam ślad po naszych przodkach. Po noclegu u mojej kuzynki w Kielcach wczesnym rankiem wyruszyliśmy do Luciejowa, Poddębic, Edmundowa i Burzenina.

W Luciejowie z leśniczówki i gospodarstwa pozostała pusta przestrzeń, a na niej tylko ziemna spiżarnia. Jedyny ślad przeszłości. Chwile wspomnień, przywołanie minionych chwil, drogich nam osób, dzieciństwa i do Poddębic. Tam na szczęście niewiele się zmieniło. Na rynku szukaliśmy starszych osób i pytaliśmy ich o wuja. Byli tacy, którzy pamiętali i wspominali z szacunkiem. Potem odwiedziliśmy Edmundów i wędrówkę zakończyliśmy w Burzeninie na cmentarzu. Chcieliśmy pomodlić się na grobie naszej kochanej Helenki, która tak nam umilała pobyt u wujostwa. Niestety mimo usilnych poszukiwań nie odnaleźliśmy nagrobka jej ani też pensjonariuszy domu w Witowie. Było za późno, aby pojechać do samego Witowa i tam szukać informacji. Przed nami była długa droga do Dąbrowy. W tamtym trudnym czasie o hotel nie było łatwo.

Druga moja wyprawa miała miejsce w 2016 r. Jurka już nie było na tym świecie. Towarzyszyła mi córka Małgosia. Najpierw byliśmy w Luciejowie. Miejsce po leśniczówce było całkowicie zarośnięte drzewami, krzewami, a w tej gęstwinie ruiny jakiegoś budynku, resztki ogrodzenia z siatki. Nawet tej ziemnej spiżarni nie mogłam odnaleźć. Pozostała tylko przy drodze stojąca kapliczka. Kapliczka, która była tutaj od zawsze umieszczona na drzewie, została przez kolejnego następcę wuja Józefa postawiona na postumencie. I tylko ona wskazuje miejsce po leśniczówce, po owym rodzinnym raj.

Pozostało jeszcze jedno miejsce nietknięte przez czas. Mianowicie spojrzenie od strony kapliczki na drogę do wsi, do Luciejowa. Takie samo jak przed 70 laty. Dlatego ten widok umieściłam na stronie głównej i na pierwszej stronie historii o naszych przodkach z ziemi lubelskiej.

Na tej drodze spotykamy dwie osoby starsze, które dobrze pamiętają ciocię i wuja i nawet imiona ich dzieci. Nie muszę chyba się powtarzać, że ich wspomnienia są pełne szacunku. Jeden z nich, 81 lat, nawet pracował u wuja. Drugi z nich, pan Patelski (około 74 lata) jest bardzo uczynny, pamiętał, że wuj nosił bryczesy, opowiadał o historii leśniczówki, przypominał znane mi

⁴⁶ Patrz moja-rodzina.com, Przodkowie po matce, Historia ks. Józefa Leśniowskiego...

nazwiska niektórych mieszkańców, pokazał drogę, a nawet pojechał z nami do Kozub. Bardzo to były miłe chwile w Luciejowie. W Kozubach za to smutno. Nic nie zostało z tej wiejskiej scenerii, jaka witała po przyjeździe i opuszczeniu pociągu. Pozostał tylko martwy, nieczynny budynek stacyjny.

W Edmundowie znowu miłe chwile. Mieszkanie wujostwa zajmuje gościnna pani Elżbieta Makotowa. Chętnie pokazuje mieszkanie, mogę więc obejrzeć dawne pokoje cioci i kuchnię, gdzie tyle dobrych rzeczy nęciło. Nic się nie zmieniło, oryginalne okiennice i drzwi – ale brakuje dostojnego kredensu, skór z dzika, starego samowara... Pani Elżbieta oprowadza po parku i pokazuje zadbaną przez nią kapliczkę Niepokalanej, która też pamięta ciocię i wuja. Wspomina z wdzięcznością, że jej nieżyjący już mąż Tadeusz od wuja uczył się leśnictwa. To była jego pierwsza i ostatnia praca. Był na pogrzebie wuja w Warszawie. A wuj do Edmundowa został skierowany, aby założyć tam szkółkę leśną. Z żalem opuszczamy gościnną panią Elżbietę i ruszamy do Poddębic.

W Poddębicach znowu powrót do danych miejsc. Oglądamy rynek, park, kościół i wracamy ulicą prowadzącą od rynku do dawnego domu wujostwa, który nadal stoi, pięknie odnowiony. Próbuję odszukać dawny budynek nadleśnictwa. Biegam po sąsiednich uliczkach, oglądam domy, nawet cmentarz, odtwarzam miniony czas i usiłuję jak najmocniej utrwalić wszystko w pamięci. Nie wiem dlaczego, ale właśnie niektóre szczegóły z dawnego pobytu w Poddębicach są przedmiotem moich marzeń sennych.

Nocujemy w Uniejowie, znanym mi z opowiadań wuja, często to tam jeździł służbowo. Może dlatego to miejsce Małgosia wybrała na nocleg, aby i w ten sposób zrobić mi przyjemność.

Następnego dnia jeszcze odwiedzamy w Radomiu miejsca związane z wujem Ferdynandem i ruszamy w lubelskie, śladami przodków z poprzednich wieków.

I na koniec fragment wiersza najwybitniejszej polskiej poetki, wyryty na kamieniu w parku w Poddębicach:

*...niech mi kamieniarz liryczkę wyryje
...a niechaj na nim napisu nie kładzie
i niech go w rzędy nie stawia, ni w ładzie,
tylko w zakątku, gdzie brzoza szum niesie...*

Maria Konopnicka

Zakończenie

Z wszystkich materialnych rzeczy w tych szczególnych miejscach pozostały kapliczki. Znak rozpoznawczy, ale i ostrzegający, że wszystko ma swój kres i wskazujący na to, co najważniejsze, wieczne. Jakby może przesłanie zza grobu...



Kapliczka – jedyny ślad po Luciejowie

Dlatego też wspomnienia o dzieciach Grzegorza i Emilii Ratyńskich: śp. Ferdynandzie, śp. Stefanii, śp. Emilii i śp. Annie ku refleksji ich potomków pragnę zakończyć wierszem Marii Konopnickiej:

*Jeśli obrazilem, jeśli Cię zasmucilem,
Jeśli niebacznie odbiegłem od Ciebie,
Wyciągnij dłoń swą, ażebym się wrócił,
Ojcze mój w niebie!*

Dziecko ja Twoje! Choć słabe, niekarne

Choć się z Twojej ścieżki odbiję w bezdroże,

Ku Tobie wołam, ku Tobie się garnę,

Przebacz mi, Boże!

Obmyj mą duszę, wróć serce mi wolne,

Niech znów Ci śpiewam pieśń chwały radosną,

Niech będę czysty, jak lilje te polne,

Co w niebo rosną!

A także modlitwą: wieczne odpoczywanie racz im dać Panie, a światłość wiekuista niechaj im świeci, przez miłosierdzie Boże niech odpoczywają w pokoju wiecznym. Amen.

– Autorka

